

W Porcie Lucy Gringe zajęła ostatnie miejsce na porannej barce. Wcisnęła się między młodego mężczyznę, trzymającego agresywną kurę, oraz szczupłą kobietę o zmęczonym wyglądzie, opatuloną wełnianym płaszczem. Kobieta zerknęła na nią niepokojąco przenikliwymi zielonymi oczami, po czym odwróciła wzrok. Lucy rzuciła torbę tuż obok swoich stóp, by wygodnie usiąść.

Nie miała zamiaru stać przez całą drogę do Zamku. Zielonooka kobieta musiała przywyknąć do ciasnoty. Lucy odwróciła się i popatrzyła na nabrzeże. Nad samą wodą zobaczyła samotną postać zmokniętego Simona Heapa i posłała mu przelotny uśmiech.

Był ponury, zimny poranek. Niebo zwiastowało opady śniegu. Simon zadrżał w odpowiedzi, zdobył się na uśmiech. Podniósł głos, by przekrzyczeć łoskot towarzyszący stawianiu żagla.

– Trzymaj się, Lu!

– Ty też! – odparła, łokciem odpychając kurę. – Wrócę w dzień po Najdłuższej Nocy. Obiecuję!

Simon skinął głową.

– Dostałaś moje listy? – zawołał.

– Oczywiście – potwierdziła Lucy. – Ile? – To pytanie skierowała do chłopaka na barce, który zbierał opłatę za przewóz.

– Sześć pensów, skarbie.

– Nie mów do mnie „skarbie”! – warknęła wściekła. Sięgnęła do sakiewki i rzuciła całą kolekcję miedzianych monet na jego wyciągniętą dłoń. – Mogłabym za to kupić własną łódź – stwierdziła.

Chłopak wzruszył ramionami i podszedł do zmęczonej kobiety siedzącej obok niej, zdaniem Lucy, przyjezdnej, dopiero co przybyłej do Portu. Kobieta podała mu dużą srebrną monetę – pół korony – i cierpliwie czekała, gdy chłopak pieczołowicie odliczał resztę. Gdy uprzejmie mu podziękowała, Lucy zwróciła uwagę na jej dziwny akcent, który kogoś jej przypominał, choć nie wiedziała kogo. Dziewczyna zbyt przemarzła, by myśleć, a przy tym dręczył ją niepokój.

Od dłuższego czasu nie była w domu, a teraz, gdy siedziała w łodzi, płynącej do Zamku, ta myśl budziła w niej pewien lęk. Nie miała pewności, z jakim się spotka przyjęciem. Nie w smak było jej też zostawiać Simona.

Portowa barka ruszyła. Dwaj pomocnicy odpychali długą, wąską łódź od brzegu, a majtek rozwijał podniszczony czerwony żagiel. Lucy smętnie pomachała Simonowi. Barka oddalała się od przystani, zmierzając w kierunku fali przyływu, sunącej środkiem rzeki. Co jakiś czas oglądała się, by ujrzeć samotną sylwetkę Simona, który wciąż stał na brzegu, z długimi, jasnymi włosami powiewającymi na wietrze i płaszczem z jasnej wełny, trzepoczącym niczym skrzydła émy.

Patrzył na barkę, aż wchłonęła ją mgła, wisząca nisko nad rzeką od strony Mokradeł Marram. Gdy kontur barki zupełnie zniknął mu z oczu, zatupał nogami, by trochę je rozgrzać, po czym ruszył przez labirynt ulic, które miały go doprowadzić na strych Urzędu Celnego.

Na szczycie schodów do Urzędu Celnego Simon pchnął poobijane drzwi swojego pokoju i przekroczył próg. Dojmujący ziąb uderzył go tak mocno, że aż zaparło mu dech. Od razu wiedział, że coś jest nie tak – w jego pokoju na strychu było zimno, ale nigdy aż tak. To był Mroczny chłód. Drzwi za nim zatrasnęły się, a potem, niczym z głębi długiego tunelu, dobiegł go trzask rygla i został więźniem we własnym pokoju. Z bijącym sercem zmusił się, by podnieść wzrok. Postanowił nie używać swoich dawnych Mrocznych umiejętności, ale niektóre, raz wyuczone, zaczynały działać odruchowo – a jedną z nich była zdolność Widzenia w Mroku.

W przeciwieństwie zatem do większości pechowców, którzy, mając okazję spojrzeć na Stwora, widzą tylko ruchome cienie i obrazy rozkładu, Simon ujrzał go ze wszystkimi szczegółami. Stwór siedział na jego wąskim łóżku i patrzył na niego spod kaptura. Simon poczuł mdłości.

– Witaj – głęboki, złowieszczy głos wypełnił pomieszczenie, a po plecach Simona przebiegł dreszcz.

– G-Ger... – wyjąkał chłopak.

Stwór z zadowoleniem dostrzegł strach w jego ciemnozielonych oczach. Skrzyżował długie, patykowate nogi i zaczął obgryzać jeden ze swoich łuszczących się palców, wciąż złowrogo patrząc na młodego.

Jeszcze niedawno wzrok Stwora nic by dla Simona nie znaczył. Gdy mieszkał w Obserwatorium, dla zabicia czasu patrzył na Stwory, które nieraz Przyzywał. Teraz jednak z trudem powstrzymywał się od odwrócenia wzroku od gnijącej sterty szmat i kości siedzącej na jego łóżku, nie mówiąc już o patrzeniu jej w oczy.

Stwór dostrzegł niechęć Simona i wypluł na podłogę poczerniały paznokieć. Przez głowę chłopaka przebiegła krótka myśl o tym, co by powiedziała Lucy, gdyby znalazła coś takiego na podłodze, i wspomnienie dziewczyny dodało mu odwagi, by się odezwać.

– Gdzie... czego chcesz? – szepnął.

– Ciebie – odrzekł głuchy głos Stwora.

– M-mnie?

Stwór popatrzył na niego z pogardą.

– C-ciebie – zadrwił.

– Czemu?

– Przybyłem, by cię Ściągnąć. Zgodnie z umową.

– Umową... Jaką umową?

– Tą, którą zawarłeś z naszym nieżyjącym panem. Wciąż jesteś nią Związany.

– Co? Ale... ale on nie żyje. DomDaniel nie żyje.

– Posiadacz Dwustronnego Pierścienia nie umarł – wyrecytował Stwór.

Simona, który założył (zgodnie z intencją Stwora), że posiadaczem Dwustronnego Pierścienia może być tylko Dom- Daniel, zdjęło przerażenie.

– DomDaniel nie umarł?

Stwór nie odpowiedział na pytanie, a tylko powtórzył to, co mu kazano.

– Posiadacz Dwustronnego Pierścienia domaga się twojego przybycia. Ruszysz natychmiast.

Simon był zbyt wstrząśnięty, by się poruszyć. Wszystkie wysiłki, by zostawić Mrok za sobą i zacząć nowe życie z Lucy, zdawały się teraz bezsensowne. Złapał się rękami za głowę, zastanawiając się, jak mógł być tak głupi i wierzyć, że zdoła uciec przed Mrokiem. Deski podłogi skrzypnęły. Podniósł głowę. Zobaczył, że Stwór idzie w jego stronę, wyciągając kościste ręce.

Simon zerwał się na równe nogi. Nie dbał o to, co się stało, i nie zamierzał wracać do Mroku. Rzucił się do drzwi i pociągnął rygiel, lecz ten ani drgnął. Stwór był teraz tuż za nim, tak blisko, że chłopak czuł zapach zgnilizny i gorzki smak na języku. Zerknął na okno. Wiedział, że od ziemi dzieli go spora odległość.

Cofał się w kierunku okna, a w jego głowie jedna myśl goniła drugą. Może jeśli wyskoczy, wyląduje na balkonie dwa piętra niżej. Może zdoła się złapać rynny. Albo podciągnąć się na dach.

Stwór popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Uczniu, pójdziesz ze mną, czy mam cię Ściągnąć? – Jego pobrzmiwający groźbą głos wypełnił nisko sklepiony pokój.

Simon wybrał rynnę. Otworzył okno na oścież, wdrapał się na nie i chwycił gruby czarny metal zamocowany na tylnej ścianie Urzędu Celnego. Za nim rozległo się gniewne wycie i gdy chciał zsunąć nogi z parapetu, poczuł, że nieodparta siła wciąga go z powrotem do pokoju. Stwór rzucił na niego Ściągnięcie.

Chociaż Simon wiedział, że temu zakłęciu nie sposób się oprzeć, rozpaczliwie trzymał się rynny, podczas gdy czar ciągnął jego stopy tak mocno, że miał wrażenie, jakby brał udział w przeciąganiu liny. Nagle porzewiały metal, wyglądający spod grubej warstwy czarnej farby, został mu w rękach i Simon wleciał z powrotem do pomieszczenia razem z rynną. Uderzył w kościste, choć obrzydliwie miękkie ciało Stwora i upadł na podłogę. Nie mógł się ruszyć, leżał więc, patrząc w górę.

Stwór spojrział na niego z szyderczym uśmiechem.

– Pójdiesz ze mną – wyrecytował.

Simon został postawiony na nogi niczym zepsuta lalka. Zataczając się, wyszedł z pokoju i jak automat zaczął schodzić po wąskich schodach. Przed nim szybował Stwór. Gdy pojawił się na nabrzeżu, Stwór stał się ledwie dostrzegalnym cieniem, zatem Maureen z Portowego Sklepu z Plackami, która właśnie otwierała okiennice, zobaczyła tylko Simona, krocącego sztywno wzdłuż nabrzeża w kierunku ciemnej ulicy Przedniej. Maureen tarła oczy dłonią. Pomyślała, że dostał się do nich kurz, bo wszystko wokół Simona wydawało się dziwnie niewyraźne. Pomachała wesoło, on jednak nie zareagował. Dziwak z tego Simona! Jak nie trzymał nosa w jakiejś Magicznej księdze, to intonował zaklęcia.

– Placki będą gotowe za dziesięć minut. Zostawię ci jeden z warzywami i boczkiem! – zawołała, lecz chłopak zniknął już w bocznych uliczkach, a ona znowu wyraźnie widziała opustoszałe nabrzeże.

Dla osoby Ściągniętej nie ma już odwrotu ani wytchnienia do chwili, gdy trafi w miejsce, do którego ją Ściągnięto.

Przez cały dzień i pół nocy Simon brodził przez mokradła, przedierał się przez krzaki i potykał na kamienistych ścieżkach. Moczył go deszcz, omiatał wiatr, mroziły opady śniegu, za nic jednak nie mógł się zatrzymać. Wędrował niestrudzenie, aż w końcu, w zimnym, szarym świetle świtu następnego dnia przepłynął lodowatą rzekę, wydostał się na brzeg, by przebrnąć przez poranną rosę, wspiąć na obsypujący się mur, porośnięty bluszczem. Na samym szczycie został wciągnięty przez okienko i poprowadzony do pomieszczenia pozbawionego wszelkich otworów poza drzwiami. Gdy zaryglowano za nim drzwi i został sam, rozciągnięty na pustej podłodze, Simon nie widział już nic. Nie dbał też, gdzie się znajduje i kim jest.

Szybko zapadająca noc przyniosła zimną mżawkę. Z Portu do Nowej Przystani, niedawno zbudowanego kamiennego molo tuż pod Herbaciarnią i Piwiarnią Sally Mullin, podpłynęła barka. Wymęczeni pasażerowie, w towarzystwie dzieci, kur i bagaży, wstali ze swoich miejsc i zataczając się, zeszli z trapu. Wielu poczłapało wydeptaną ścieżką do Herbaciarni i Piwiarni, by ogrzać się przy buzujących płomieniach i skosztować zimowych specjałów Sally: grzanego piwa Springo oraz ciasta jęczmiennego z przyprawami na ciepło. Inni, stęsknieni za łóżkiem i ciepłym paleniskiem, ruszyli w ciężką drogę pod górę, obok wysypiska śmieci, ku Bramie Południowej, otwartej do północy.

W Lucy Gringe perspektywa marszu pod górę nie budziła ani odrobiny entuzjazmu, tym bardziej, że barka prawdopodobnie przepłynie tuż obok celu, do którego zmierzała dziewczyna. Zerknęła na siedzącą obok kobietę. Przez pierwszą połowę podróży próbowała unikać jej dziwnie niepokojącego spojrzenia, gdy jednak sąsiadka zdobyła się na nieśmiałe pytanie o drogę do Pałacu – dokąd Lucy też musiała się najpierw udać – dalsza część rejsu upłynęła im na ożywionej rozmowie. Teraz kobieta podniosła się znużona, by podążyć za innymi pasażerami.

– Chwileczkę! – odezwała się do niej Lucy. – Mam pomysł... Przepraszam? – zawołała tym razem do majtka.

Chłopak odwrócił się.

– Tak, skarbie?

Z niemałym samozaparciem Lucy zignorowała to „skarbie”.

– Gdzie cumujecie na noc? – spytała.

– Przy tym północnym wietrze pewnie u Jannit Maarten – odparł. – A co?

– No, tak sobie myślałam... – Posłała mu swój najlepszy uśmiech. – Zastanawiałam się, czy moglibyście ewentualnie wysadzić nas po drodze. Jest taka zimna noc. I ciemna. – Zatrzęsła się i żałośnie popatrzyła na majtka swoimi dużymi, piwnymi oczami. Już go miała.

– Pewnie, że możemy, skarbie. Powiem kapitanowi. A gdzie chcecie wysiąść?

– Na pałacowym pomoście, jeśli łaska.

Zamrugął z zaskoczeniem powiekami.

– Na pałacowym? Na pewno, skarbie?

Stłumiła w sobie chęć, by krzyknąć: „Nie mów do mnie skarbie, matole!”

– Tak, prosimy – powiedziała. – O ile to nie kłopot.

– Nie ma najmniejszego kłopotu, skoro chodzi o ciebie, skarbie – odparł matolek – chociaż bym cię tam nie odprowadził.

– Tak? – Lucy nie była pewna, jak to przyjąć.

– Tak. Wiesz, że ten pomost jest nawiedzony, nie?

Wzruszyła ramionami.

– Mnie to nie martwi – stwierdziła. – Nigdy nie widuję duchów.

Barka odbiła od Nowej Przystani. Tam, gdzie rzeka robiła się szersza, zawróciła, bujając się niepokojąco, gdy przecinała nurt i wzburzone wiatrem fale. Gdy jednak zwróciła się dziobem w dół rzeki, wszystko znowu się uspokoiło i mniej więcej po dziesięciu minutach barka powolutku dobijała już do pałacowego pomostu.

– Proszę bardzo, skarbie – powiedział majtek, zarzucając linę na jeden z pachołków. – Baw się dobrze. – Puścił do niej oko.

– Dziękuję – odrzekła dość sztywnym tonem. Wstała i wyciągnęła rękę do sąsiadki. – Jesteśmy na miejscu – oznajmiła.

Kobieta uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Podniosła się, cała odrętwiała, i w ślad za dziewczyną zeszła z pokładu.

Barka odpłynęła od pomostu.

– Do zobaczenia! – krzyknął majtek.

– Nie, jeśli ja zobaczę cię pierwsza – mruknęła Lucy. Odwróciła się ku swojej towarzyszce, która w osłupieniu patrzyła na Pałac. A widok był rzeczywiście piękny. Podłużna, niska budowla ze starego piaskowca, z wysokimi, eleganckimi oknami, z których widać było zadbane trawniki, schodzące ku rzece. W każdym oknie migotała świeczka, więc cały budynek czarownie połyskiwał w gęstniejącym mroku.

– Ona tu mieszka? – spytała cicho kobieta ze śpiewnym akcentem.

Lucy skinęła głową. Zniecierpliwiona ruszyła szeroką ścieżką, wiodącą do Pałacu. Jej towarzyszka jednak nie podążyła za nią. Wciąż stała na pomoście i rozmawiała, jak się zdawało, z powietrzem. Lucy westchnęła. Czemu zawsze trafiały jej się dziwaczki? Nie chcąc przerywać jednostronnej rozmowy – która wyglądała na poważną, jako że kobieta przytakiwała ze smutkiem – dziewczyna szła dalej w stronę pałacowych świateł.

Nie czuła się zbyt dobrze. Była zmęczona, zmarznięta, a przede wszystkim zaczęła się niepokoić, jakie powitanie spotka ją w Pałacu. Włożyła rękę do kieszeni i znalazła listy od Simona. Wyciągnęła je i zmrużyła oczy, patrząc na nazwiska, skreślone szerokim, pełnym zawijasów pismem Simona: *Sara Heap. Jenna Heap. Septimus Heap*. Wsunęła list do

Septimusa z powrotem do kieszeni, nadal trzymając w dłoni te zaadresowane do Jenny i Sary. Westchnęła. Chciała tylko pobiec do domu i wiedzieć, że „wszystko w porządku, Lucy-Lu”. Simon jednak prosił, by doręczyła listy jego matce i siostrze. I doręczy je bez względu na to, co Sara Heap o niej myśli.

Towarzyszka Lucy przybiegła za nią.

– Przepraszam, Lucy – powiedziała. – Właśnie usłyszałam od zjawy bardzo smutną historię. Mężczyzna, który był miłością jej życia... i śmierci... został Wygnany. Przez pomyłkę. Jak Czarodziejka może popełnić taki błąd? O, to straszne! – Pokręciła głową. – Naprawdę straszne.

– To pewnie Alice Nettles – stwierdziła Lucy. – Simon mówił, że Althera spotkało coś okropnego.

– Tak. Alice i Alther... To takie smutne...

Lucy nie miała czasu dla duchów. W jej mniemaniu duchy po prostu nie żyły, a liczyło się tylko to, by być z upragnioną osobą za życia. Pomyślała, że właśnie dlatego wróciła teraz, zmęczona i stęskniona za ciepłym łóżkiem, do Zamku, trzęsąc się na zimnym północnym wietrze znad rzeki.

– Idziemy? – spytała. – Nie wiem, jak ty, ale ja zamierzam.

Kobieta skinęła głową. Wysoka i szczupła, dla ochrony przed wiatrem ciasno opatulona grubym, wełnianym płaszczem stąpała ostrożnie, jasnymi oczami omiatając teren przed sobą, bowiem w przeciwieństwie do Lucy nie widziała szerokiej, pustej ścieżki. Dla niej ścieżka i okalające ją trawniki pełne były duchów: spieszących dokądś pałacowych sług, młodych księżniczek, bawiących się w berka, małych paziów, pradawnych królowych, przechadzających się między nieistniejącymi już krzewami, i podstarzałych ogrodników, pchających widmowe taczki. Szła ostrożnie, bo jak wszyscy Duchowidzący, miała pewien kłopot: duchy nie schodziły jej z drogi. Widziały w niej po prostu jeszcze jedną zjawę – dopóki ich nie Przeniknęła. A wtedy, ma się rozumieć, czuły się głęboko urażone.

Nieświadoma obecności jakichkolwiek duchów, Lucy dziarskim krokiem przemierzała ścieżkę, duchy zaś, z których część dobrze знаła dziewczynę i jej ciężkie buty, rozsądnie ustępowały jej z drogi. Lucy dotarła wkrótce do górnej ścieżki otaczającej Pałac, po czym odwróciła się, by sprawdzić, co z towarzyszką, która została w tyle. Jej oczom ukazał się dziwny widok: kobieta tańcząc na palcach podążała w jej stronę, jakby brała udział w jakimś staromodnym zamkowym balu, tyle że zupełnie sama. Lucy pokręciła głową – to nie wróżyło niczego dobrego.

W końcu kobieta, podenerwowana i zadyszana, dołączyła do niej, a wtedy Lucy bez słowa ruszyła przed siebie. Postanowiła pójść ścieżką, prowadzącą wokół Pałacu, i podejść do głównych drzwi frontowych, zamiast ryzykować, że nikt nie usłyszy jej pukania w któreś z licznych drzwi kuchennych i bocznych.

Pałac był rozległą budowlą i minęło dobre dziesięć minut, nim Lucy i kobieta przekroczyły wreszcie płaski, drewniany most nad ozdobną fosą. Gdy podeszły bliżej, mały chłopiec otworzył nocne wejście – niewielkie drzwiczki, wmontowane w główne, podwójne wierzaje.

– Witamy w Pałacu – pisnął Barney Pot, pyszniący się szarą pałacową tuniką i czerwonymi pantalonami. – Kogo panie życzą sobie widzieć?

Lucy nie miała szansy odpowiedzieć.

– Barney! – dobiegł ze środka śpiewny głos. – Tu jesteś! Musisz położyć się spać, jutro idziesz do szkoły.

Towarzyszka Lucy pobladła.

Barney odwrócił wzrok ku wnętrzu.

– Ale ja lubię służbę przy drzwiach – zaprotestował. – Proszę, jeszcze tylko pięć minut.

– Nie, Barney. Do łóżka.

– Snorri? – rozległ się drżący głos towarzyszkii Lucy.

Wysoka dziewczyna o zielonych oczach i długich, bardzo jasnych włosach wychyliła głowę przez nocne wejście i wyjrzała w ciemność. Zamrugła powiekami, popatrzyła obok Lucy i aż się zachłysnęła.

– Mama!

– Snorri, och, Snorri! – wykrzyknęła Alfrún Snorrelssen.

Snorri Snorrelssen rzuciła się w ramiona matki. Lucy uśmiechnęła się z zadumą. Może, pomyślała, to dobry omen. Może później, gdy nocą zastuka w drzwi stróżówki przy Bramie Północnej, jej matka tak samo ucieszy się na jej widok. Może.